

# JENS LAPIDUS TOP DOGG

Thriller na lato, który pali jak rozgrzany asfalt bosa stopy.  
To najbardziej imponująca szwedzka powieść o Sztokholmie.  
Dotyka ciemnej strony tego miasta.

**Bodil Juggas**, „Arbetarbladet”

MARGINESY



*Top dogg*

COPYRIGHT © Jens Lapidus 2017

Published by agreement with Salomonsson Agency

COPYRIGHT © FOR THE TRANSLATION BY Agata Teperek

COPYRIGHT © FOR THE POLISH EDITION BY WYDAWNICTWO MARGINESY,  
WARSZAWA 2019

„Svensk Damtidning”

## **Buchard zaprasza na wernisaż – co za przyjęcie!**

Na wernisażu wystawy niepowtarzalnych prac CoolArt i Buchard-sa bawili się nie tylko książkę Karol Filip i zaprzyjaźniony projektant Joakim Andersson. Zebrała się tam cała śmietanka towarzyska Sztokholmu i największe osobowości ze świata sztuki.

Naszą uwagę zwrócił między innymi debiutujący na sztokholmskiej scenie kolekcjonerskiej młody finansista z aspiracjami Hugo Pederson i jego piękna żona Louise. Oboje są niezwykle zainteresowani tematem i – jak podają nasze źródła – mimo że zbierają sztukę nowoczesną dopiero od dwóch lat, udało im się zgromadzić pokaźną kolekcję.

„Zawsze pasjonowało mnie to, co subtelne i złożone” – ochoczo wyjaśnił naszemu reporterowi finansista.

Hugo Pederson, który aktywnie działa w firmie inwestycyjnej Fortem, stał się w krótkim czasie mecenasem grupki artystów.

„Jeśli ktoś miał to szczęście, że udało mu się dorobić, musi dać coś od siebie innym” – przyznał Pederson i wrócił do zabawy w Buchardsie ze swoją równie zaangażowaną żoną.

Johan W. Lindvall, 2007

## Prolog

Adan przystawił drabinę z boku budynku i popatrzył na balkon. Nystadsgatan, mieszkanie na pierwszym piętrze – nie powinien mieć większych problemów z tym, żeby rozłożyć drabinę, oprzeć ją o poręcz i wejść na górę. Mimo wszystko: fuck – zdawało mu się, że zaraz się zesra ze strachu. Dosłownie. Niemal widział się już oczami wyobraźni na samej górze cholernej drabiny, z brązową plamą na spodniach.

Właściwie skończył już z takimi rzeczami. Stuknęło mu dziewiętnaście lat i zrobił się za stary na podobne akcje; czymś takim zajmował się pod koniec gimnazjum. W dodatku teraz było to poniżej jego godności. Ale jakie miał wyjście? Skoro Surri kazał, Adan musiał się podporządkować.

Znali się od przedszkola, wychowywali na jednym podwórku, grali w jednej drużynie – ich ojcowie mieszkali nawet po sąsiedzku w dawnej ojczyźnie. „W Bakool nie zwracaliśmy na siebie uwagi, nie przejmowaliśmy się sobą bardziej, niż to było konieczne” – powtarzał ojciec Adana. „Ale tu wszystkim się wydaje, że jesteśmy jak rodzina, jakbyśmy byli jedną osobą”.

Ojciec miał rację i zarazem się mylił: Surri był bratem Adana. Mimo to zachowywał się jak świnia.

Przez rękawice robocze poczuł zimno poręczy balkonowej. Rękawice – ten nawyk pozostał mu jeszcze z dawnych czasów. Jego odciski palców na bank znajdowały się w starych rejestrach. Przymierzył się, miał przeskoczyć na drugą stronę, a to spory ciężar: ważył ze sto dziesięć kilo. Śrubokręt w jego ręce wydawał się jednak lekki, a uchwyt pasował idealnie, jakby palce tylko czekały, by po niego sięgnąć, chociaż od pewnego czasu Adan prowadził zwykłe życie – rozwoził przesyłki dla szefa swojego ojca, a wieczorami wcinał popcorn i oglądał z dziewczyną *Luke'a Cage'a* i *Faudę*. Ale dwa tygodnie temu zapytano go, czy nie chciałby zarobić trochę kasy ekstra. Nic nielegalnego, jednodniowa fucha w imię dawnej przyjaźni. Musiałby być głupi, żeby powiedzieć „nie”.

Wszystko przez te niemieckie pizdy. Surri poprosił go, żeby pojechał do Hamburga i odebrał beemkę z najnowszej, siódmej serii. Czysty zysk: model 730d dało się tam kupić poniżej stu tysięcy euro, a tutaj – po przeliczeniu na korony – łatwo można było go sprzedać za półtorej bańki. Jeden haczyk: rocznie nie należało rejestrować zbyt wielu samochodów, bo wtedy uaktywniał się urząd skarbowy. Żeby tego uniknąć, do gry wszedł Adan.

Pojechał pociągiem do duńskiego Rødby, za bilet w jedną stronę zapłacił pięćset dziewięćdziesiąt cztery korony, całą drogę siedział i słuchał Spotify przez nowe słuchawki Beats, mocno trzymał nerkę, którą dostał od Surriego, i wyglądał przez okno. Milion koron wymienione na euro ważyło tyle co nic. Nigdy nie siedział tak długo w pociągu, ale okazało się to całkiem spoko. Obserwowanie przyrody za oknem nie nudziło go ani trochę. Krajobraz na zewnątrz przemykał ze świstem: zmrożone pola, lasy świerkowe i małe wioski, w których – jak się zdawało – ludzie zbierali porzewiałe wraki samochodów i stare opony. Zastanawiał się, z czego oni tam żyli.

Żadnych trudności nie przysporzyło mu znalezienie salonu, podpisanie dokumentów kupna i dojście do porozumienia ze sprzedawcą, który nawet mówił trochę po arabsku – nie był to język Adana, ale umiał w nim powiedzieć kilka grzecznościowych frazesów. Co za zajebiste uczucie usiąść na czarnym skórzanym fotelu, odpalić silnik i ruszyć na prom płynący z powrotem do Szwecji. Codziennie prowadził przeróżne pikapy, ale jeszcze nigdy nie jechał bmw. To auto nie tylko wyglądało jak klasa sama w sobie – jakość dawało się zauważyć w najmniejszych detalach. Zapach skóry i to uczucie, gdy palce przejeżdżały po tablicy rozdzielczej, ciężar drzwi, stłumiony trzask dający poczucie bezpieczeństwa, kiedy się zamykały. Pomyślał o Surrim, który robił wszystko ze stylem, nawet bluzy nosił zacnych francuskich designerskich marek. Pewnego dnia może Adana też będzie stać na taki wóz. Teraz jednak zamierzał jechać cały wieczór i całą noc, by jak najszybciej dostarczyć beemkę; nie chciał się zatrzymywać po drodze w żadnym motelu.

Usłyszał to dopiero na autostradzie przed Jönköping: stłumione skrobanie, które absolutnie nie wróżyło dobrze. Po trzech kilometrach zatrzymał samochód. Wysiadł, obejrzał wóz ze wszystkich stron, ale nic nie znalazł. Skrobanie powróciło, gdy tylko odpalił silnik. Przejechał kilkadziesiąt kilometrów i zapaliła się kontrolka. Problem z hamulcami. Co to miało znaczyć? Ożeż kurwa – nie wiedział nawet, czy może jechać dalej. Zwolnił, za nim utworzył się korek, jechał siedemdziesiątką na drodze z ograniczeniem do stu dwudziestu. Skrzywienie w samochodzie brzmiało potwornie. Po kolejnych kilkudziesięciu kilometrach skręcił na stację benzynową i uprzejmie poprosił pracującego tam gostka, żeby wyszedł i zerknął na jego auto. Koleś, który miał cholernie dużo pryszczycy i zdawał się pięć lat młodszy od Adana, od razu się pochylał i poświęcił latarką na felgi.

– Moim zdaniem wygląda to tak, jakby nie miał pan już tarcz hamulcowych – zawyrokował. – Lepiej nie jechać tym samochodem ani centymetra dalej. Szkoda, bo to ekstrasfura tak poza tym.

To był koniec dobrego. Adan musiał opłacić lawetę, która ściągnęła samochód do najbliższego warsztatu. Naprawa trwała pięć tygodni i kosztowała czterdzieści patyków. Do tego powiedzieli mu, że auto mogło być powypadkowe. Adan zadzwonił do niemieckiego sprzedawcy i się na niego wydarł, ale typ udawał, że nie rozumie nawet po angielsku. Koniec końców Surri zlecił wycenę cholernego wozu: nie dostanie za niego nawet sześciuset tysięcy.

– Jak mogłeś być tak cholernie głupi i nie sprawdzić samochodu przed zakupem?

Zamek w drzwiach balkonowych kliknął i puścił. Adan je podważył. Surri wyrażał się jasno:

– Psy zaaresztowały naszego człowieka, wynajmował to mieszkanie, ale nic w nim nie znaleźli. Jeśli dostaniesz się do środka i odszukasz to, co należy do mnie, skreślę ci połowę długu. Wiesz chyba, ile jestem w plecy na tym samochodzie.

Adan się wiercił.

– Ktoś teraz mieszka w tej chacie?

– Możesz to olać. Jutro wieczorem nikogo tam nie będzie.

Adan przypomniał sobie, jak w dzieciństwie bawili się na podwórku. Surri zleciał z drabinki, spadł na ziemię jak mała rękawiczka i rozbił sobie kolano. Krew polała się strumieniami, a w nodze utknął żwir. Kolega nie przestawał płakać.

– Pomogę ci. Chodź, pójdziemy do mnie, tata chyba jest w domu – powiedział Adan najłagodniejszym głosem, na jaki mógł się zdobyć.

Mieli po sześć lat i wiedział, że jego tata będzie umiał opatrzeć kolano Surriego. I tak rzeczywiście się stało – tata oczyścił ranę i nakleił na nią największy plaster, jaki kiedykolwiek widzieli. Kiedy później pili kakao O’boy, jedli herbatniki Marie i oglądali *Toy Story* na DVD, Surri powiedział:

– Twój tata jest fajniejszy od mojego, bo umie się zająć małymi wojownikami.

Mieszkanie składało się z trzech pokoi z kuchnią. Adan zapalił lampę w pomieszczeniu, które pewnie służyło za salon: obita zieloną tkaniną sofa, stolik kawowy ze szklanym blatem i regał, a także coś przypominającego rzutnik. Łóżka w obu sypialniach były wąskie i nieposłane. Ktoś tutaj mieszkał – skąd bowiem wzięłyby się aktualne gazety na stoliku i T-shirt na jednym z krzeseł?

Zarazem prawie nie było mebli, może ktoś tylko tu nocował od czasu do czasu. Podniósł w kuchni kosz na śmieci i zajrzał do pustego opakowania po mleku. W nos uderzył go zapach, który zdecydowanie czuł już wcześniej: zgaszone jointy.

Przeszukał szafki w kuchni i lodówkę. Ten lub ci, którzy tutaj mieszkali, mieli stopy paczek chipsów i masę kubeczków śmietany, ale żadnego normalnego jedzenia. Zajrzał do piekarnika i do zmywarki, położył się na podłodze i poświęcił latarką pod zlewem i za lodówką. Leżał tam tylko kurz.

Ludzie bywali czasem pomysłowi. Mimo to nic nie znalazł. Przerzucił poduszki na sofie, obmacał poszewki i materace na łóżkach. Na podłodze w jednej z sypialni stała torba. Pogrzebał w niej – mignęło mu jeszcze kilka T-shirtów, cztery pary majtek

i skarpetki. Stał na stoliku kawowym i poświęcił do przewodów wentylacyjnych w ścianie. Nic.

Nic nie znalazł.

Znowu w salonie. Na czworakach zajrzał pod kanapę, poświęcił za regałem.

Ten, kto wynajmował to mieszkanie, musiał wydymać Surriego – bo nie było tu, kurna, nic albo, rzecz jasna, psy to znalazły. Właściwie to nie problem Adana. Chociaż Surri na pewno tak na to nie spojrzy.

Wtem coś usłyszał. Jakiś dźwięk z przedpokoju.

Nie, hałas dochodził z klatki schodowej. Jego uszu dobiegły czyjeś głosy.

Zanim zdążył pomyśleć, zachrząściło w zamku. No, KURWA – ktoś właśnie wchodził do środka. Adan wyłączył lampę w salonie.

Słyszał dwie osoby rozmawiające w przedpokoju. Głos dziewczyny i jakiegoś typka. Może powinien po prostu wyjść i ich skatować, kimkolwiek byli. Ale jednak nie – różnił się od Surriego. Nie był zawodnikiem tego kalibru.

Skulił się za sofą.

Głosy stały się wyraźniejsze. Dziewczyna gadała o jakiejś Billie. Chłopak mamrotał coś o imprezie. „Zaraz będzie bibka”.

Adan leżał bez ruchu, starał się nie wydawać żadnego dźwięku i zachować spokój. Szkoda, że nie pojechał z powrotem do Hamburga i nie udusił tego sprzedawcy bmw gołymi rękami – to wszystko jego wina.

Później usłyszał, jak zamykają się drzwi – sądząc po odległości, do toalety. Może to była jego szansa. Teraz słyszał już tylko głos dziewczyny, nuciła jakąś piosenkę. Chłopak zapewne siedział w kiblu. Zdawało się, że dziewczyna weszła do salonu. Później zapadła cisza. Adan wstrzymał nawet oddech, cały zamienił się w słuch. Skradające się kroki. Sapnięcie. Później znowu kroki oddalające się do jednej z sypialni.

Teraz.

Podniósł się: pusto. Zrobił dwa długie susy do drzwi balkonowych. Nie myślał już, nie zastanawiał się. Po prostu działał. Otwo-



rzył drzwi. Nie oglądał się za siebie. Wypadł na balkon. Zamknął za sobą drzwi. Wciągnął w płuca świeże powietrze.

Przeskoczył przez balustradę.

Rzucił się w dół.

Nie, spadł.

Jak Surri z drabinki.

W ciemności na zewnątrz czuł się pewnie, ale trząśł się z zimna. Rękawiczki robocze były cienkie jak papier.

Oparł się o drzewo. Starał się nie obciążać prawej stopy. Coś sobie zrobił przy upadku – może złamał tę cholerną nogę. Mimo wszystko nie chciał zrejterować. Drabina leżała przed nim na ziemi: ciągnął ją za sobą, gdy kulejąc, odchodził po śniegu. Surri się wścieknie, kiedy usłyszy, że Adan nic nie znalazł. Zresztą to przecież człowiek Surriego musiał go wykiwać. Adan n a p r a w d ę porządnie szukał.

Stał już cztery godziny. Czekał. Miał nadzieję, że stopa przestanie boleć. Mieszkanie było oświetlone. Na ścianach migały dziwne kolory, a muzyka dudniła przez drzwi balkonowe, które od czasu do czasu otwierano. Wewnątrz kłębili się ludzie – z dworu wyglądali jak zlewający się ze sobą tancerze występujący w tle telewizyjnego talent show.

W którymś momencie imprezujący tam idioci zaczną chyba wychodzić albo przynajmniej się położyć. W którymś momencie chipsy i dipy się skończą. Wtedy on znowu przystawi drabinę i dostanie się do środka. Przeszuka tę miejscówkę jeszcze raz.

Nie wystoi tu całą noc – stopa za bardzo go bolała – ale da radę postać jeszcze trochę.

W gruncie rzeczy nie był żadnym wojownikiem.

Ale mógł poczekać.

\* \* \*

Dziewiętnaście osób bawiło się w ich małym salonie, ale zaproszonych było jeszcze co najmniej drugie tyle. Roksana chciała, żeby tego wieczoru – na parapetówce u niej i Zeta – naprawdę

panował ścisk. Miała nadzieję, że ludzie uznają to za dobrą okazję do oblewania. No chyba przyjdą?

Kawałki Younga Thuga leciały z głośników kina domowego pożyczonych od Billie, które Zet podłączył bezpośrednio z SoundCloud na swoim telefonie. Thuggy dawał radę – ten ospały, uzalający się głos w melodyjnym riddim rapie. Było to przy tym doznanie cielesne, nurkowanie w ciepłym, nienaturalnie połyskującym morzu stylów i dźwięków. Roksana rozejrzała się dookoła. Czy ludziom podoba się ta nuta? Czy dobrze się bawią? Czy jest miła atmosfera?

Goście przynieśli własny alkohol. Butelki wina musującego ustawiono na stoliku. Roksana wprost o nie poprosiła w zaproszeniach rozesłanych messengerem: „Przynieście bąbelki! Roksana & Zet zapewniają muzę, dobrą zabawę i przekąski”. Miała nadzieję, że nie zabrzmiało to, jakby była zbyt do przodu.

Przekąski składały się głównie z orzeszków ziemnych i chipsów, ale Roksana dodała kilka kropel oliwy truflowej do śmietany i wszyscy zgodnie stwierdzili, że to najlepszy dip do chipsów, jaki kiedykolwiek jedli. Jednak nie jedzenie było tu najważniejsze, lecz dobra zabawa, a dobrą zabawę nakręcała muzyka. Głośniki, wybór utworów, miks. Zet załatwił nawet maszynę do robienia dymu i sprzęt do małego pokazu laserowego. Nie zdążyli jeszcze powiesić obrazów ani plakatów, więc złożyło się idealnie, wykorzystali białą ścianę w najlepszy możliwy sposób. Sztuczny dym pokładał się wokół sofy jak powłoka chmur. Roksana miała wrażenie, że są w klubie, i to takim ze starannie określonym formatem. Jedyna różnica polegała na tym, że brakowało im konsoli DJ-a i że ci, którzy przychodzili o tej porze, musieli przedrzeć się przez porzucane roshe runy i stylizowane na vintage vansy. To Zet się uparł, że wszyscy mają zdjąć buty. „Jeśli mamy to później jakoś ogarnąć, musimy ograniczyć ilość sprzątan. Bo ja nie palę się do zamiatania. Mówiłem chyba?”

Roksana nie wiedziała, co Zet mówił, a czego nie. W gruncie rzeczy nie planowali razem zamieszkać. Mimo wszystko powinno im się chyba jakoś udać. Zet to dusza człowiek.

Sprawdziła Insta i Snapchata – może ktoś wrzucił coś o imprezie. Ale nie, informacje o domówce nie rozeszły się jeszcze poza ściany ich mieszkania. „Kochani goście – pomyślała – chyba impreza wam się podoba? Nie możecie potańczyć, chociaż trochę, chociaż kilkoro z was? I zróbcie sobie kilka zdjęć”.

Mieszkanie było dość duże, pięćdziesiąt dwa metry kwadratowe, niestety na Nystadsgatan w Akalli, daleko zarówno od centrum Sztokholmu, jak i Södertörns högskola, na której studiowała Roksana. Nie miała jednak wyboru. Wynajmowała najpierw pokój od Billie na Verkstadsgatan przy Hornstull, ale od kiedy przyjaciółka zaczęła wyznawać poliamorię, chciała, żeby troje jej partnerów mieszkało z nią pod jednym dachem. Zet zaproponował, żeby okolicę przechrzcić na *hornystull*. Ale Roksanie nie było do śmiechu, najzwyczajniej nie miała gdzie się podziać, w dodatku jeden z facetów przyjaciółki całymi dniami puszczał Danny’ego Saucedę na zestawie kina domowego Billie – i nie, nie było to ani trochę dla beki. W tym samym tygodniu Zet został wyrzucony z mieszkania wynajmowanego z drugiej ręki. Przez trzy dni spał na sofie u babci i zaledwie nanometry dzieliły go od poważnego załamania nerwowego.

Roksana stała między Zetem a Billie. Dookoła rozmawiali goście. Kilkoro nawet podrygiwało w takt muzyki. Roksana nie chciała ich obserwować zbyt otwarcie, żeby nie wyjść na nachalną. Jeszcze raz zajrzała na Insta i Snapa. Może ktoś uważa, że jest nudna, bo stoi tylko z najlepszymi przyjaciółmi; a może jej najlepsi przyjaciele uważali, że jest nijaka, bo tylko stoi tutaj z nimi.

Specjalnie na ten wieczór uczesała się i włożyła nowe srebrne klapki Birkenstock. Poza tym miała na sobie zwyczajne niebieskie džinsy i biały T-shirt, który znalazła w domu rodziców. Billie czasem jej to wytykała, ale Roksana była przekonana do swojego podstawowego stylu, wzorowała się na George’u Costanzie i właściwie całym *Beverly Hills, 90210*. Rzecz w tym, żeby rozwalić zaciśniętą pięścią te wszystkie trendy i przemijające ideały mody.

Billie dopisywał humor – to dobry znak. Miała na sobie spodnie Adidasa, luźną bluzkę z długim rękawem, choker na szyi i miękką czapkę Gucciego z daszkiem na czubku farbowanych na różowo włosów. Włosy pod pachami też ufarbowała na różowo. „Na waszą cześć” – zapewniła. Trudno było sobie wyobrazić, że za kilka dni zacznie studiować prawo na uniwersytecie. Roksana cieszyła się, że Billie zostawiła w domu wszystkich swoich partnerów obojga płci – bez nich zachowywała się bardziej na luzie. A po ostatnich zawirowaniach Roksana właściwie nie wiedziała, jak mają się sprawy między nią a jej najstarszą i najlepszą przyjaciółką.

Billie podniosła paczkę papierosów.

– Jak robimy? Mam wyjść na balkon czy mogę zapalić w środku? Zet podniósł głowę.

– Nie no, kurna. Zasłony i pościel przechodzą dymem papierosowym. Rozmawiałem już na ten temat z Roksy.

Billie przewróciła oczami.

– Ale wy nie macie zasłon.

Zet nie odpuszczał.

– To bez znaczenia. Zatrują się powietrze, kopnąc w domu.

– A więc teraz ma tu być jeszcze sanatorium?

– Tak jakby. – Roksana zachichotała. – W każdym razie będziemy jeść tylko roślinne produkty z upraw ekologicznych, no wiesz, *forks over knives*, i nic z plastiku nie przekroczy progu tego mieszkania.

Zet wyjął torebkę i paczkę bibulek OCB Slim.

– Ktoś chce jointa? Mam ich w cholerę. – Przytrzymał przed sobą torebkę. – Jeśli chodzi o marihuanę, jest jedna święta zasada. Trzeba odróżniać sativę od indiki. Obie to odmiany konopi, ale inaczej wyglądają, mają liście różnej grubości i tak dalej, ale *who cares*. Liczy się efekt: a ten jest jak noc i dzień. Indica to propozycja dla tych, którzy chcą spokojnie posiedzieć na sofie, coś dla tych, którym marzy się odlot w stylu PlayStation i chilloutu. A to jest dwudziestoczwieromiesięczna sativa pędzona na wzgórzach w Châteauneuf-du-Pape, lepszej nie znajdziecie.

Wprawnymi ruchami podzielił trawkę na papierze.

– Pali się ją i jest się na haju. Później pali się jej więcej i jest się na jeszcze większym haju. Nie ma górnej granicy. Słowo.

Wszystko to było gadaniem nowicjusza. Różnicę między satiwą a indicą nie zawsze dało się wyczuć, ale Zet uwielbiał ubierać rzeczy w słowa, mówić. Taki już był: nie mógł tylko żyć, chciał jeszcze opisywać to, co się działo, odwoływać się do tego, rozumieć to przez pryzmat kategorii i struktur. Czasem przypominało to wyścigi.

Roksana wzięła jointa, którego podał jej Zet, i głęboko się zaciągnęła.

– Skończyłeś na razie nas bajerować? – spytała.

Zaśmiały się, Zet również.

– Wiecie, jaki jestem – powiedział.

Był pod tym względem wyjątkowy. Struktury patriarchalne znał równie dobrze jak zasady hodowania zielska, dostrzegał nie tylko wzorce kulturowe, lecz także swoje miejsce w hierarchii władzy. Mężczyzna objaśniający świat kobietom. Mężczyzna, który zawsze wszystko wie. Mężczyzna zaczynający dziewięćdziesiąt procent swoich wypowiedzi od: „Taki już jestem, że...”.

Godziny mijały. Erik Lundin świetnie zmiksowany z Lil B w miękkim przejściu do Rihanny – połączenie trochę niespodziewane, ale była tak choolernie dobra – a później coś zupełnie innego, w czym tylko Zet się orientował: podobno nazywali się Hubbabubbaklubb. Ludzie odbijali się od podłogi, tańczyli *free spirit* po kątach, podskakiwali w rytm muzyki. Mały laser Zeta wyświetlał na ścianie figury geometryczne. Po stole walały się puste plastikowe kubeczki i okruchy chipsów, a na wszystkich innych powierzchniach zalegały bibułki rizla i butelki po winie. Chyba widziała nawet rurkę do wciągania koki – ludzie zachowywali się czasem zbyt bezpruderyjnie, nie było w tym nic fajnego.

Teraz chyba muszą dobrze się bawić? Roksana po raz dwusetny sprawdziła telefon. Wrzucono jedynie screen playlisty puszczanej przez Zeta tego wieczoru, z emotką palonego papierosa i tekstem „smoke w\*\*\* everyday”.

Roksana uprzedziła sąsiadów, więc wszystko powinno być okej, nie zamierzali z Zetem robić tu takich imprez co tydzień. Poniękad odnosiła też wrażenie, że koleś, od którego wynajęli to mieszkanie z drugiej ręki, David, nie był zbyt wybredny. O ile dostanie kasę, będzie zadowolony, ale ciężki zapach zioła unoszący się na klatce schodowej mógł wzbudzić zainteresowanie. Jedna z sąsiadek powiedziała im, że poprzedni lokator ściągnął na siebie uwagę policji. Podobno go aresztowali i zrobili przeszukanie, ale później z powrotem oddali mieszkanie Davidowi. Roksana nie zwracała sobie tym głowy. David powiedział, że mogą tu zostać, ile chcą. Miała gdzieś, kto tu mieszkał wcześniej i do czego wykorzystywał mieszkanie. Najważniejsze, żeby teraz ludzie uznali, że ona i Zet robią wszystko jak trzeba.

To będzie dobry początek jej minikolektywu z nim.

Dobry początek tego semestru.

Znajomi sobie poszli. Zbyt szybko, jak się jej zdawało. Starła się opanować myśli: czy zostało to odebrane jako zbyt stereotypowe, gdy powiedziała, że zastanawia się nad Erasmusem w Berlinie? czy nie jest wystarczająco ładna?

Ich salon wyglądał jak strefa działań wojennych. Chodnik w kuchni był mokry. Na parapecie leżały liście marihuany. Zastanawiała się, jak Zet przeżyje późniejsze sprzątnięcie.

– *Shit*, że też wszyscy tak po prostu zniknęli, włącznie z typkiem, którego wyrzywałam. Ale wielu pewnie chciało jeszcze zobaczyć Idę Engberg – powiedziała Billie.

Zet siedział na sofie.

– Ida Engberg, ona jest po prostu niesamowita. Nie jedziemy tam?

Zet tak się zjarał swoją dwudziestoczwieromiesięczną satiwą, że na koniec nie mógł stać prosto.

– Musimy chyba trochę poogarniać i przewietrzyć. Ale jedź, jeśli chcesz. Nie ma sprawy – zapewniła Roksana.

Zrenice Billie były wielkie jak kosmos.

– Mogę pomóc ci z najgorszym sprzątnięciem.

– A jak potem dostaniesz się do domu? Taksówką?

– Nie.

– Pierwszym metrem do miasta?

– Nie.

– Popłyniesz kajakiem?

Billie się zaśmiała.

Roksana otworzyła na oścież drzwi balkonowe. Nie czuła się już pijana, była tylko trochę na haju, ale chłodne świeże powietrze mimo wszystko uderzyło ją niespodziewanie – jakby ktoś przepłukał jej głowę wodą mineralną. Popatrzyła na przypominające cienie drzewa. Z pierwszego piętra do ziemi nie było wcale daleko. Na dole leżała cienka pokrywa śnieżna, ale tuż pod ich balkonem ktoś jakby wzruszył ziemię, Roksana widziała znikające w ciemności ślady stóp na śniegu.

Billie może sobie jechać do domu, czym chce, to jej problem.

– W garderobie widziałam rozkładane łóżko. Mogę przenocować? – zapytała przyjaciółka.

Roksana spojrzała za siebie. W pokoju panował prawdziwy chaos, ktoś wyrzucił fajkę wodną i pod stolikiem ze szkła zrobiła się kałuża, mimo to poczuła, jak serce zabiło jej mocniej: Billie chciała zostać u nich na noc.

– A nie powinnaś jechać do domu do Fii, Pii, Cii, Ollego, czy jak oni się tam nazywają?

– Zabrzmiało to tak potwornie heteronormatywnie... i faszystowsko moim zdaniem.

– Nie o to mi chodzi. Ale bądź co bądź wyrzuciłaś mnie z mieszkania. A teraz chcesz spać tutaj.

– Trzeba kwestionować obowiązujące normy i dotyczy to także sposobu mówienia. Słowa są środkiem autorytarnym w hierarchii płci... – Billie uśmiechnęła się pod nosem. Usta miała krzywe, zawsze takie były. – Jestem taka śpiąca. I tak dawno nie jadłyśmy razem śniadania.

Otworzyli drzwi do garderoby. Unosił się w niej delikatny zapach stęchlizny. W środku nie było żarówki, ale Zet poświecił telefo-

nem i przejechał strumieniem światła po płaszczu i dżinsowej kurtce, które powiesiła tam Roksana. Nie miał nic przeciwko, żeby Billie u nich nocowała.

Coś w tej garderobie nie grało. Roksana nie wiedziała co, ale miała złe przeczucie.

– Mogę twój telefon?

Oświetliła ścianę. Garderoba była prawie pusta, znajdowało się tam tylko łóżko, dwie sztuki odzieży i kilka starych wieszaków na drążku. Właściwie nie pachniało tu stęchlizną, raczej starym drewnem i zastałym powietrzem. Nagle jednak uświadomiła sobie, dlaczego to pomieszczenie wydało się jej podejrzane – to nie przez alkohol i trawkę, którymi się odurzyła. Za ścianą znajdowała się łazienka, więc garderoba powinna być większa. Ściany nie trzymały tutaj kątów prostych. Pomieszczenie projektował ktoś zdrowo napruty. Coś się tu nie zgadzało.

Później zaczęła stukać. Zdawała sobie sprawę, że nie zrobiłaby tego, gdyby wcześniej nie zdecydowała się na mieszankę koktajli. Ostukiwała wewnętrzną ścianę. Pukała wszędzie, na dole, pośrodku, na górze – jakby szukała jakiegoś ukrytego skarbu. Wspięła się na palce i pod samym sufitem za drążkiem na ubrania wymaczała ręką sklejkę. Chwyliła ją opuszkami. Zatrzeszczało.

– Zet, pomóż mi. Wydaje mi się, że ta ściana nie jest przymocowana.

Zet wtoczył się do garderoby. Billie stała w drzwiach i patrzyła.

Zet: zjarany na maksa, ale wysoki.

– Pociągnij trochę – poprosiła Roksana.

Złapał płytę. Coś trzasnęło. Cała ściana się odczepiła i runęła na nich.

Roksana zdążyła zabrać ręce, intuicja podpowiedziała jej, że tak się to skończy. Płyta była lekka i cienka, miała zaledwie kilka milimetrów grubości.

– No halo! – zawył Zet, który dostał nią w głowę.

Zajrzeli w szczelinę, która otworzyła się przed nimi: podłużna, w sumie może pół metra kwadratowego. W środku stały dwa kartonowe pudełka.



Roksana wytrzeźwiała, zdołała się skupić: świeże powietrze wpadające przez drzwi balkonowe dolatywało nawet tutaj. Chłodne. Rozjaśniające w głowie. Co to za tajemnicze pomieszczenie?

Pochyliła się i podniosła bliżej stojący karton. Miał mniej więcej trzydzieści na trzydzieści centymetrów.

Zet stanął już na nogi.

– To jakiś magazyn Shurgarda czy co?

Postawiła pudełko na podłodze w salonie.

Tutaj wygodniej było je obejrzeć. Karton nie został zaklejony taśmą.

Zet się pochylił, Billie również zerkała na pudełko. Roksana odgięła górne tekturki.

Wszyscy troje wlepili oczy w zawartość.

*What the fuck?*



## Kolejny brawurowy thriller szwedzkiego mistrza.

Specjalna jednostka policyjna ma za zadanie wytropić bezwzględną grupę wpływowych mężczyzn, która przez dziesięciolecia wykorzystywała seksualnie nastolatki, brutalnie uciszając każdego, kto próbował ją zdemaskować. Śledztwo tkwi jednak w martwym punkcie. Zdesperowana Emelie zwraca się z prośbą o pomoc do swojego byłego partnera i kochanka, eksgangstera Teddy'ego. Ktoś jednak próbuje zmylić ich trop, sięgając po ekstremalne środki.

Studentka Roksana prowadzi życie na krawędzi. Chce być wyjątkowa. Marzy o tym, żeby bawić się w najlepszych klubach i liczyć w towarzystwie nadającym ton. Ściga ją jednak samozwańczy król koksu. Żeby wyjść z tego starcia zwycięsko, Roksana musi postawić wszystko na jedną kartę...

Śledztwo Teddy'ego i Emelie zatacza coraz szersze kręgi i staje się coraz bardziej niebezpieczne. Czy siostrzeniec Teddy'ego, Nikola, odegra w tej rozgrywce swoją rolę? Czy ścieżki Emelie i Roksany się przetną? Kto wyjdzie cało z walki, podczas której nie bierze się jeńców, a przeciwnicy znikają bez śladu?

w sprzedaży także



[www.marginesy.com.pl](http://www.marginesy.com.pl)



9 788366 140943

cena 44,90 zł

PRZYKŁADY WYDAŃ

PORTAL  
KRYMINALNY

POCISK

CZYTAJMY  
KRYMINALNY.PL

dekkare.pl